



KV WOLNEJ POLSCE



TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSGHODZIE

M. p. niedziela, 14 czerwca 1942 r.

Rok III Nr. 22 (399)



Fot. J. Futa

Nazareth

TREŚĆ ZESZYTU

- Churchill o wojnie *On.*
Nie dadzą rady... *J. T.*
Co niesiesz wicherze w dal? *Henryk Wawrzyńczak*
Z żołnierskiej wędrówki *Jerzy Łużyc*
Kronika W.P.Ś.W.
Obchód Bożego Ciała
na Śr. Wschodzie *W. S.*
Pożegnanie oficerów hinduskich
Żołnierskie pozdrowienia
Z Czołówką na nowe m. p. *K.*
Odpowiedzi Redakcji
Ostrożnie *Michał Ciołek*
Porażka Niemców pod Jarosławiem
Zanik przewagi Luftwaffe
(Tygodniowy przegląd wydarzeń) *D. J.*
Herr Oberleutnant von Blitz...
lądaje *Babinicz*
Humor angielski
Z nowych wydawnictw
Poszukiwania
Fotografie *J. Fuks*

Z uroczystości Bożego Ciała



Dziewczęta ze szkoły polskiej w Tel-Awiv



Przed jednym z ołtarzy

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 14 czerwca 1942 r.

Rok III Nr. 22 (399)

Churchill o Wojnie

Historia jest mistrzynią życia. Ta starorzymska zasada sprawdza się dziś z większą niż kiedykolwiek ścisłością, bo też przeszłość prędzej niż kiedykolwiek przechodzi do historii.

Powtórzyła się klęska Francji pod Sedanem. Zawiodła, na napoleońskiej wzorowana, zeszłoroczna kampania Hitlera na Moskwę. Dało by się odnaleźć wiele innych analogii z przeszłością.

Wspomniana zasada starorzymska znajduje szczególnie ściśle zastosowanie, gdy w dobie przereklamowanego „Blitzu” dochodzą do głosu, zajmują kierownicze stanowiska w prowadzeniu wojny ci sami ludzie, którzy brali w podobnym charakterze udział w poprzedniej wojnie i wówczas już odegrali swą historyczną rolę.

Uwaga ta odnosi się przede wszystkim do brytyjskiego premiera Churchilla, który jest dziś bezspornym wcieleniem ducha bojowego walczących demokracji. On to bowiem brał już przed 25 laty udział w kierownictwie walkami na morzu, lądzie i w powietrzu, ale zwłaszcza na morzu, jako pierwszy lord Admiralicji na początku wojny światowej. Miał udział w przygotowaniu zbrojeń, inspirował plany strategiczne nie tylko w zakresie użycia sił morskich, wpływał na urabianie się nowych pojęć o taktyce nowoczesnej wojny.

Wiadomo powszechnie (i na łamach naszego pisma była o tym mowa), że Churchill przygotował marynarkę brytyjską do poprzedniej wojny. Wiadomo również, że był gorącym zwolennikiem skombinowanych operacji desantowych na odległych teatrach wojny, leżących w oddaleniu od głównych skupień sił nieprzyjacielskich. Z jego inicjatywy podjęto w r. 1915 próby desantu na półwyspie Gallipoli w Tracji tureckiej, z zamiarem opanowania Cieśnin i zaatakowania już wtedy od strony Bałkanów skrzydłowych pozycji austriacko-niemieckich. Operacje te nie dały przewidzianego wyniku, stało się to jednak z powodu nienależytego i niezgodnego z zamiarem autora wykonania projektu Churchilla.

Churchill był również jednym z pierwszych popleczników rozpoczęcia działań lądowych przy pomocy wielkich formacji pancernych. Gdyby w czas zrealizowano wówczas jego pomysły, wojna poprzednia byłaby rozstrzyg-



nięta na korzyść sojuszników wcześniej i z mniejszymi dla nich stratami.

Po zakończeniu poprzedniej wojny Churchill napisał obszernie wspomnienia w postaci 4-tomowego dzieła p.t. „Kryzys Światowy“^{*)} Zawarł tam swe bogate doświadczenia z wielkiej wojny i wnioski na przyszłość.

Pracą swą przyczynił się niewątpliwie, podobnie jak gen. de Gaulle swą książką przedwojenną o roli wojsk

^{*)} Korzystamy tu z tłumaczenia francuskiego: Winston S. Churchill „La Crise Mondiale (1911—1919)“ Paris, 1925—27.

pancernych, do wytworzenia się nowoczesnych pojęć o prowadzeniu wojny. Z nauk tych skorzystali szczególnie pochopnie Niemcy, — tkwi w tym niewątpliwie doza tragicznego paradoksu. Hitlerowski „Blitzkrieg“ w pewnej mierze stanowi wyzyskanie tych ogólnych myśli o wojnie, które w swoim czasie wypowiedział Churchill.

Mimo postępów techniki wojennej i prawie trzech lat nowych krwawych doświadczeń na różnych polach walki, myśli Churchilla zachowały wiele ze swej świeżości a nie brak w nich elementów o wartości trwałej. Treść ich zainteresować może czytelników pozwalając wejrzeć w mechanizm tego wysiłku myśli i pracy, jakiego wymaga zapewnienie sojusznikom zwycięstwa w tej drugiej z kolei wojnie światowej.

**
*

Już na długo przed ukuciem terminu „wojny totalnej“ Churchill rozumiał zasadę integralności wojny:

„Wojna nie zna sztywnych przedziałów między sojusznikami... Między armią lądową, marynarką i lotnictwem, między zwycięstwami i nowymi sojuszami, między wojskiem i sprzętem wojennym, między propagandą i mechanizacją armii. Wojna jest w rzeczywistości sumą wszystkich sił i wszystkich nacisków, wywieranych w ciągu jej trwania.“

Z tej całkowitości wojny, obejmującej wszystkie obszary życia, wynika stopień się działań strategicznych z politycznymi, co Churchill wielokrotnie podkreśla:

„Na wojnie jest wiele rodzajów manewru, niektóre z nich tylko rozwijają się na polu bitwy. Inne odbywają się daleko na skrzydłach i tyłach. Są manewry czasu, dyplomacji, dynamiki i psychologii. Wszystkie te manewry odbywają się z dala od bitwy, ale to nie zmniejsza ich wpływu często rostrzygującego na jej wynik. Wszystkie dążą do tego, aby znaleźć inną od zwykłej masakry drogę do osiągnięcia celu. Rozróżnienie pomiędzy polityką i strategią zaciera się w miarę tego, im wyżej wznosi się punkt widzenia. U szczytu prawdziwa polityka zlewa się z dobrą strategią.“

„Manewr, który kończy się sprowadzeniem nowego sojusznika na pole walki, jest równie płodny jak ten, przy pomocy którego odnosi się wielkie zwycięstwo. Manewr, który pozwala zająć ważny punkt strategiczny, może mieć mniejszą wartość, niż manewr, który uspakaja lub onieśmiela niebezpieczne państwo neutralne.“

Jako polityk, Churchill jest szczerym i zdecydowanym demokratą:

„Mogliśmy zmniejszyć do połowy liczbę naszych błędów i uniknąć większości naszych niepowodzeń, gdyby wielkie wydarzenia polityczne lub strategiczne mogły być dyskutowane w pełnym świetle dnia w Izbie Gmin.“

„Jakikolwiek byłyby trudności i błędy do zwalczania, rząd, który usilnie stara się czynić co się tylko da najlepszemu, który nie podlega wpływom żadnych prądów partyjnych, może tylko wiele zyskać na tym, jeśli ujawnia całkowicie stan spraw, gdzie tylko interes państwa na to pozwala.“

Wiemy, że istotnie Churchill jako szef rządu nie sprzeniewierzył się tym poglądom: należy on do najbardziej szczerych, nie bojących się prawdy polityków.

Jako strategika charakteryzuje Churchilla duch zaczepny i nieustająca inicjatywa:

„Przysłe pokolenia z trudnością pojmą, dlaczego strategowie narodu wyspiarskiego, mającego jedyny w swoim rodzaju przywilej bezwzględnej panowania na morzach byli tak zupełnie niezdolni do wyciągnięcia z niego ofensywnych korzyści przez cały czas trwania wielkiej wojny“.

„Gdy się rozważa ryzyka, które ludzie gotowi są ponieść pod wpływem wydarzeń zewnętrznych, stoi się wobec jednego z najdziwniejszych zjawisk życia psychicznego: minimalna część śmiałości, wykazywanej aby uniknąć klęski, wystarczyłaby często dla wywalczenia sobie sukcesu“.

„Tak, jak Niemcy byli, ze wszystkich wrogów, jakich mieliśmy na świecie, najpotężniejszym, gdy realizowali swe plany, tak byli też oni najłatwiej dezorientowani, gdy wreszcie zdołano zmusić ich by dostosowali się do planów swoich przeciwników. Pozwolić Niemcom opracowywać swe projekty, dać im swobodę przeprowadzenia powoli, całkowicie i do końca przygotowań na długą metę, to narazić się na okropne niebezpieczeństwo. Przeciwnie, wysadzić ich z siodła, wprowadzić zamieszanie do ich pracowitych umysłów, złamać zaufanie do samych siebie, zniechęcić, rozbić projekty nieoczekiwaną akcją — tedy tylko prowadzi droga do zwycięstwa. To jest droga prawdziwej przeczności“.

„Im bardziej jakaś operacja wojskowa zapowiada się jako niewykonalna z przyczyn psychicznych, tym więcej ma szans powodzenia, jeśli jest materialnie możliwa do przeprowadzenia. Zaskoczenie — ten wszechwładny środek prowadzenia wojny — uzyskuje się wykonując to właśnie, co nieprzyjaciel uważa za niemożliwe“.

Wreszcie szczególnie ważka wypowiedź, nie pozbawiona także i dzisiaj aktualnego znaczenia:

„Powodzenie jest wyłącznie funkcją wielkości i napięcia naszej akcji ofensywnej w ograniczonym okresie czasu. Celem naszym jest załatwić się z armią nieprzyjacielską, a nie z jej pozycjami... Wojna na wycieńczenie między armiami, które się doskonale równoważą, nie może przynieść decyzji. Rzecz polega nie na zużyciu rezerw nieprzyjacielskich, lecz na zużyciu ich tak szybko, że zastąpienie ich i odbudowanie znużonych i wycieńczonych dywizji nie byłoby już możliwe... Dopóki zagadnienie to nie zostanie rozwiązane w sposób zadawalający, znużenie i wycieńczenie będzie wzajemne, a osiągnięte wielkie rozmiary strat zmuszą obie strony do poniesienia dalszych przerażających ofiar, nie dając w zamian korzyści równej wartości“.

Duch zaczepny Churchilla niema nic wspólnego z działaniem na ślepo, pod wpływem samego impulsu:

„Prawdziwa odwaga rodzi się na wojnie z dokładnego poczucia proporcji, a właściwość ta wiąże się z rozległą znajomością rzeczy“.

„Metody, które dają dobre wyniki, gdy są stosowane na małą skalę, nie dają bynajmniej zawsze i to zarówno w dziedzinie wojskowej, jak i w innych, odpowiednich rezultatów, gdy są zastosowane na wielką skalę. Operacje wojskowe nabierając większych rozmiarów stają się trudniejsze do prowadzenia i czynnik czasu daje odczuwać swój wpływ w postaci bardziej złożonych skutków. Gdzie przy małej skali wystarczyło kilka dni przygotowań — może być potrzeba miesiąca. Tajemnica, którą łatwo było utrzymać przez kilka dni, nie może być zachowana bez końca. Coraz trudniej zapewnić sobie korzyści z zaskoczenia podczas działań, a zaskoczenie jest kluczem do zwycięstwa, gdy ilości wojsk i sprzętu wzrastają“.

„Bitwy wygrywa się przez masakrę lub manewr. Im dowódca jest większy, tym bardziej stosuje manewr i mniej wymaga masakry. Historia obaliła teorię wysuwającą na pierwszy plan walkę na zużycie się wzajemne przeciwników“.

On.

NIE DADZĄ RADY...

Próba germanizacji ziem „włączonych” do Rzeszy

„Czy Gizela pisała Ci kiedy o Mariannie?

Bój się Boga, jeżeli mnie to samo czeka za rok: samotna wieś polska, odległa o 20 km. od najbliższego miasteczka, 3 pokojowe mieszkanie w budynku szkolnym, zupełnie sama, bez światła elektrycznego, bez radia, w sąsiedztwie sami Polacy, wieś w 75% polska, szkoła na odludziu i co najgorsze: ani jednego człowieka, z którym by można pogadać. Stale świadomość, że gdyby doszło do przewrotu, dwóch dni nie przeżyjesz (wenn ein Umbruch käme, würde man keine zwei Tage mehr leben). Niewielu wie, jak wielkie wymagania stawia się tam nad Wartą młodym ludziom, zwłaszcza dla dziewczyny nie jest to łatwe. Jedyna korzyść, jaką się ma na wschodzie, jest wyższa pensja. Zamiast 135 Rmk, które otrzymuje się w Rzeszy, płacą tam 191,10 Rmk.“

(Z listu do żołnierza niemieckiego, który znalazł się na pobojowisku pod Sidi Rezegh).

Wojnę obecną rozpoczęli Niemcy w imię zdobycia niezbędnej rzekomo dla narodu niemieckiego „przestrzeni życiowej” — „Lebensraumu”. 80-milionowy naród, pozbawiony kolonii — wmawiali swemu społeczeństwu przywódcy hitlerowscy — dusi się na zbyt szczupłym terytorium. Skoro świat tego nie docenia, oręż niemiecki wywalczyć musi konieczną dla narodu niemieckiego ziemię na wschodzie Europy.

Zgodnie z tymi zapowiedziami, natychmiast po zajęciu Polski, „włączono” do Rzeszy część ziem polskich. „Przyłączono” więc do niej jak wiadomo województwo poznańskie, pomorskie, znaczną część łódzkiego, tworząc z nich dwa okręgi administracyjne: Wartheland i Danzig-Westpreussen, województwo śląskie oraz zagłębia węglowe krakowskie i dąbrowieckie połączono z prowincją śląską, a okręg ciechanowski i płocki „wcielono” do Prus Wschodnich.

Cały „inkorporowany” obszar wynosi około 92.000 km² i zamieszkały był przed wojną przez około 10 milionów ludzi. Mniejszość niemiecka na tym terenie liczyła przed wybuchem wojny 633.000 osób czyli stanowiła zaledwie 6,2 proc. miejscowej ludności, jak to obliczył J. Winiewicz w swych artykułach zamieszczonych w „Free Europe”.

Ten mały odsetek ludności niemieckiej, to bardzo skromna baza dla hitlerowskich planów zgermanizowania włączonych ziem. A przecież nazistowska polityka postawiła sobie znacznie szersze plany germanizacyjne niż staropruscy hakatyści. Wprawdzie ani za czasów Fryderyka Wielkiego, ani za czasów Bismarcka, ani w okresie działania Komisji Kolonizacyjnej nie wyrzekali się pruscy kulturtraegerzy wyrzucania terrorem Polaków z ich ojczyznej ziemi, ale nigdy nie stawiali sobie za zadanie usuwania ich z tych terenów w ilości, obejmującej miliony ludzi. Nie marzyli o tym, a może i nie chcieli tego. Swą misję dziejową widzieli Prusacy w zakładaniu zwartych kolonii niemieckich w morzu słowiańskim, ugruntowywaniu niemieczyzny w miastach, tworzeniu nowych wielkich osiedli, z których miała

wychodzić akcja niemieczenia ludności polskiej. Zgermanizowany element polski miał być rezerwuarem sił narodu niemieckiego, zmniejszających się na skutek spadku przyrostu naturalnego.

Rasistowska teoria niemieckiej ekspansji na wschód, przynajmniej w założeniu, odrzuciła germanizowanie ludności polskiej. Przewodnim jej hasłem, głoszonym przez Hitlera, jest germanizowanie nie ludzi lecz ziemi. Polacy mają być usunięci z ziem „włączonych” a na ich miejsce ma być osadzony chłop niemiecki. Trudne i nieproste zadanie postawili nacjonal-socjalistyczni mędrcy administracji niemieckiej na „inkorporowanych” terenach.

Stosunkowo najłatwiej było wykonać pierwszą część programu hitlerowskiego: usunąć część Polaków z ziem „włączonych”. Terrorem i gwałtem usunięto około 1½ miliona Polaków przenosząc ich do General-Gubernatorstwa. Pozostało przecież 7.700.000, w stosunku do których 633.000 Niemców stanowiło w dalszym ciągu nawet nie 10 proc.

Druga część programu: osadnictwo Niemców na tych terenach, okazała się niełatwa do wykonania. Zobaczymy jak olbrzymie podjęto wysiłki i jakie są rezultaty?

Chcąc zachęcić Niemców do osadnictwa na wschodzie dano im cały szereg przywilejów. A więc osadnik niemiecki na „włączonych” do Rzeszy terenach zwolniony jest od płacenia dodatku wojennego do podatku dochodowego, do czego zobowiązani są wszyscy obywatele Rzeszy. Dochody do 3.000 Rmk rocznie wolne są w ogóle od podatku dochodowego, przy czym do tej zasadniczej kwoty dolicza się po 300 Rmk od każdego dziecka. Od dochodów w granicach od 3000 do 25.000 Rmk płaci się tylko połowę podatku komunalnego. Własność osadników o wartości do 30.000 Rmk wolna jest od podatku majątkowego, podczas gdy w Niemczech wolne od tego podatku są tylko majątki o wartości do 10.000 Rmk. Dalej Niemcy na „inkorporowanych” terenach płacą tylko połowę podatku gruntowego, a wszystkie kapitały przybywające z Rzeszy na omawiane obszary wolne są od podatku inwestycyjnego. Przedsiębiorstwa mają prawo odkładania o wiele większych sum na kapitał rezerwowy niż przedsiębiorstwa w Niemczech, a banki spółdzielcze płacą specjalnie niskie stawki podatkowe. Handel hurtowy wolny jest od bardzo wysokiego w Niemczech podatku od nadmiernych zysków wojennych.

Poza tymi ulgami podatkowymi, szerokim strumieniem płyną z Rzeszy kredyty na „wzmocnienie niemieczyzny”. Budżet zajmującego się przesiedlaniem Niemców Deutsche Umsiedlungs-Treuhand na rok 1940 wynosił 63.810.000 Rmk. Dziesięcioletni plan budowy nowych ferm przewiduje koszty tej imprezy na 12 miliardów Rmk. Na przesiedlenie Niemców z krajów bałtyckich wydano 100 milionów Rmk. Warto również wspomnieć, że wszystkie przedsiębiorstwa niemieckie, które musiały być zamknięte w wyniku konieczności wojennych (brak surowców), korzystają ze specjalnej pomocy rządu.

Ale nie są to wszystkie dobrodziejstwa, które zapewnią osadnikom niemieckim na „niemieckim wschodzie”. Poza ulgami podatkowymi, kredytami, w miarę możliwości obniżaniem kosztów utrzymania, do dyspozycji jego postawiono przecież wszelką własność skradzioną Polakom. Wydany 17 sierpnia 1940 r. dekret Goeringa postanowił,

jak wiadomo, całkowitą sekwestrację i konfiskatę własności, należącej do nie-Aryjczyków, osób, które są nieobecne w kraju oraz we wszystkich wypadkach, gdy to jest konieczne dla „wzmocnienia niemieczyzny“. Wykonawcą dekretu jest Himmler, szef Gestapo. Dla przeprowadzenia konfiskat stworzono specjalne instytucje, a więc dla miast „Haupttreuhandstelle-Ost“, dla własności rolnej „Ostdeutsche Landbewirtschaftung (Ostland)“ oraz szereg mniejszych organizacji dla germanizacji handlu, rzemiosła, a nawet przemysłu hotelarskiego. Działalność tych instytucji prowadzona jest z wielkim rozmachem. Tak więc do czerwca ub.r. lokalne Treuhandstelle w Poznaniu i Łodzi zarejestrowały dla celów konfiskaty 59.300 przedsiębiorstw, z tego 5.500 przemysłowych, 24.700 handlowych, 7.428 rzemieślniczych. Poza tym w Poznaniu 73.000 posiadłości znajduje się pod tymczasowym zarządem z zamiarem odsprzedaży tych posiadłości Niemcom.

„Ostdeutsche Landbewirtschaftung (Ostland)“ usunęło 3.300 Polaków z majątków ponad 50 ha ustanawiając własny zarząd. 23.000 rodzin niemieckich osadzonych na 320.000 ha wyposażono w 52.800 ton zboża dla siewu i wyżywienia, 4150 wielkich maszyn rolniczych, 37.750 mniejszych maszyn, 7.800 narzędzi, 4.900 koni, 4.400 sztuk bydła oraz 50.000 świni i owiec. Koloniści prawie nic nie płacą za otrzymany dobytek; względnie niskie opłaty rozkładane są na wiele lat.

I oto mimo tak korzystnych warunków nie ma w Niemczech wielu chętnych do osadnictwa na ziemiach polskich. Z 70.000 posiadłości miejskich, administrowanych w Poznaniu przez Treuhandstelle, „sprzedano“ w ub. roku zaledwie 122 przedsiębiorstwa przemysłowe, 698 handlowych i 1.028 warsztatów rzemieślniczych. W stosunku do około 1/2 miliona małych polskich gospodarstw rolnych musiano się zadowolić tym, że zostaną one „podporządkowane“ niemieckiej kontroli, gdyż nie miałyby ich kto objąć. To też stan posiadania własności rolnej w Wielkopolsce, która już na skutek poprzedniej kolonizacji posiadała znaczny odsetek własności niemieckiej, przedstawia się następująco: 12,5 proc. ziemi ornej należy do chłopów niemieckich, 12,5 proc. do większych właścicieli niemieckich, 25 proc. do „Landwirtschaftsstelle“ (nieobsadzone jeszcze), 50 proc. pozostaje w rękach chłopów polskiego.

Mimo wielkiej akcji propagandowej, mimo gromów rzuconych na opieszałość i niedoceniecie przez społeczeństwo niemieckie zagadnień wschodu, cała niemal dotychczasowa kolonizacja niemiecka odbywa się pod przymusem. Przymusowo przecież, a nie dobrowolnie, zabrano około 465.000 Niemców z krajów bałtyckich i wschodniej Europy. Z tej liczby około 400.000 osadzono na „inkorporowanych“ terenach. Jeśli do tego doliczy się około 100.000 przysłanych z Niemiec urzędników, żon oficerów i t.p. — otrzymamy wzrost ludności na obszarach „przyłączonych“ o około 1/2 miliona co łącznie z 633.000, poprzednio zamieszkującymi te tereny, stanowi 1.133.000 Niemców. W ten sposób przez wyrugowanie Polaków i przymusowe osadzenie kolonistów niemieckich zwiększono w dwójnasób liczbę mniejszości niemieckiej. Oczywiście odsetek jej w stosunku do ogólnej liczby ludności wynosi więcej w Wielkopolsce, dochodząc przypuszczalnie do 20 proc. (osadzono tu 173.243 Niemców ze wschodu), na całym omawianym obszarze wynosi od 12 do 13 proc. miejscowej ludności. Zmienia to oblicze ziem polskich, ale w tempie o wiele wolniejszym niż to przypuszczali Niemcy.

Nie trzeba również zapomnieć, że ta próba germanizacji ziem polskich odbyła się kosztem likwidacji niemieckiego stanu posiadania w państwach nadbałtyckich i południowo-wschodnich, kosztem likwidacji niemieckich baz wypa-

dowych na wschodzie, tak pieczołowicie wznoszonych przez polityków pruskich. Do germanizacji ziemi polskiej, co było w programie Hitlera daleko jednak jeszcze. Wszelkie zaś próby przesiedlania Niemców z zachodnich dzielnic Niemiec nie dają wyników. Gdy Institut für Raumforschung zaczął w 1940 r. forsować przeniesienie z Badenii 60.000 rodzin, a z Württembergii 50.000 — wywołało to wielkie zaniepokojenie wśród tamtejszej ludności, która wcale nie ma zamiaru udawać się w obce strony.

W rezultacie na miejsce usuniętych Polaków nie ma dziś dostatecznej liczby Niemców, a cały teren „włączony“ do Rzeszy uległ pewnego rodzaju wyludnieniu. Wiejskie okręgi tego obszaru posiadały przed wojną przeciętne zaludnienie 123 osoby na km². Dziś zagęszczenie ludności spadło do 80 osób na km², a w niektórych okręgach administracyjnych do 60 na km².

Co prawda w zapowiedziach obiecuje się osadzenie po wojnie na tych terenach zdemobilizowanych żołnierzy niemieckich w liczbie około 3 do 4 milionów, ale tymczasem nie posiadając dostatecznej liczby kolonistów przewiduje się zakładanie w 60 proc. gospodarstw wielkich, od 25 do 40 ha. Ponieważ jednak i to nie wystarcza dla „zgermanizowania ziemi“, postanowiono pewną część gruntów rolnych po prostu zalesić podnosząc stan zalesienia z 16 do 30 proc. całego obszaru.

Temu zalesianiu ornych obszarów rolniczych towarzyszy rujnowanie na „włączonych“ terenach przemysłu. Tak więc z 3.500 przedsiębiorstw w Łodzi czynnych jest tylko 300. Z 153.700 robotników wywieziono 80.000 do robót rolnych w Niemczech pozbawiając przemysł wykwalifikowanych sił.

Duże ponad to trudności powoduje na terenach „włączonych“ oderwanie ich od reszty ziem polskich, naturalnego zaplecza ich gospodarki. Trudności, jakie z tego powodu powstały, wskazujące, że tereny te nie są związane gospodarczo z Niemcami, spowodowały, że musiano zmienić cały szereg przepisów zabraniających wymiany towarowej między „inkorporowanymi“ ziemiami i Generał-Gubernatorstwem.

Takie są oto rezultaty wielkich planów germanizowania ziem polskich. Taka jest odpowiedź rzeczywistości na rzecką niemiecką potrzebę przestrzeni życiowej.

Cofający się w liczbie w stosunku do narodów słowiańskich naród niemiecki nie jest w stanie przeć na wschód. Od lat ludność niemiecka uchodziła na zachód z Prus Wschodnich, wyludniała Pomeranie, Meklemburgię i wschodnią część Brandenburgii. Masowo przenosiła się ze wsi do miast. Zawsze brakowało jej rąk nie tylko do obsadzenia nowych terenów ale i do zagospodarowania własnego. Tego procesu nie jest w stanie odwrócić Hitler. Podniósł wprawdzie przyrost naturalny Niemców, ale nie wyrówna to strat, które ponosi naród niemiecki w obecnej wojnie. Orężem na pewien czas zdobył ziemie wschodnie, ale mimo rzuconych milionów marek, mimo obławiania się skradzionym dobytkiem polskim, nie jest w stanie objąć tych ziem w posiadanie niemiecką pracą i niemieckim wysiłkiem. Zadanie, które postawił swemu społeczeństwu przerasta siły narodu niemieckiego. Ale narzucając narodowi niemieckiemu takie zadanie Hitler, wbrew swym zamiarom, staje się likwidatorem niemieczyzny na wschodzie. Ściągnął Niemców z pruskich baz wypadowych we wschodniej Europie na ziemie polskie, aby je zgermanizować. Sami osadnicy zdają sobie jednak sprawę z tego, że z ziem polskich będą musieli odejść zwracając skradziony dobytek prawowitym właścicielom. Trudno zaś przypuścić, aby mogli powrócić do krajów Wschodniej Europy, z których wyszli.

Co niesiesz wicherze w dal?

O czym dziś szepczesz wicherze skrzydlaty?
Co z prądem swoim niesiesz w dal?
Czy baśń rusatek sprzed wielu lat,
Czy zew tęsknoty, — radość czy żal?...

A może ciche westchnienie z dali,
Sponad łęk mglistych i szarych pól,
Jak się wierzbową fujarka żali,
Sierocy smutek, sierocy ból?

A może sponad wiślanej toni,
Drżący flišaka na tratwie śpiew,
Tchnące oddechy konwalii woni,
I balsamiczny jodłowy wiew?

Wiejskie odgłosy tak, jak przed laty,
W mrokach wieczoru płynące w dal,
Klekot bociana z drewnianej chaty
Przy wtórze płochych wiślanych fal?

Może te szumy wierzby płaczącej,
Drzemiącej smętnie nad brzegiem wód,
Zapach akacji biało kwitnącej,
Gdy na niej roi się pszczołny ród?

Pieśni modlitwy z zamglonej dali,
Czasu błogiego cichy krok,
Gdy na zachodzie zorza się pali,
A świat nieszczęsny otula mrok?

Może odgłosy burzy z oddali,
Spośród chmur czarnych — piorunów grom,
Jak gdzieś na zgliszczach starzec się żali,
W gradzie piorunów wali się strom?

Może westchnienie żołnierza z boju,
Który z przeszłym sercem padł,
Czy płacz dziewczęcia wśród nieszczęść — znoju,
Powiedz tułaczu — co niesiesz w świat?

6.VI.1942.

HENRYK WAWRZYŃCZAK

Z ŻOŁNIERSKIEJ WĘDRÓWKI

(Ciąg dalszy)

Ósmego dnia podróży, opowiada Janko Rzykant, stanęliśmy — w Tunisie. Wiedzieliśmy, że będzie kontrola statku, więc przyciemniliśmy wszystkie dziury i ponakrywaliśmy się deskami, które były w naszym schowanku. Leżeliśmy jak kuropatwy cały dzień, słysząc nieustanny ruch na zewnątrz. Pod wieczór wszystko ucichło. Komisja zesłała na ląd. Pewno nocą jakoś się wydostaniemy. Ale co robić w Tunisie, w którym nie mamy żadnych kontaktów.

Nagle ktoś szarpnął drzwi i do naszej ciemni wpadł blask silnej latarki elektrycznej.

— Tu policja. Hej! Ilu was tam jest? —

Okazało się, że wyspali nas inni marynarze, nie należący do puli.

— Trzydziestu — odpowiada nasz kapitan.

— Co!? zachnął się z przerażeniem komisarz policji.

Po chwili znowu otwarto drzwi.

— Wychodzić!

Na pokładzie oddziałek policji na wprost, szereg marynarzy uszykowany na prawo. Nasz szereg rozwinęto na lewo.

— Macie wskazać, kto z wami się komunikował.

Nasze umorusane sadzami gęby musiały wyglądać skrajnie idiotycznie i beznadziejnie, bo sam komisarz długo nie nalegał, tylko kazał schodzić na brzeg, sformował w dziadowskie, pozał się Boże, czwórki i smętny orszak ruszył, otoczony policją, do *Commissariat d'immigration*.

Ledwo minęliśmy parkan, otaczający obszar portowy, — już u wejścia oczekiwały nas gromadki Arabów, które z punktu poczęły wznosić okrzyki „*Vive la Pologne!*”

Co widząc kapitan zawrzasnął o krycie i równanie, zamorusane wojsko poczęło przybijać takt i znienacka nasz wmarusz do ciupy tumiskiej nabrał cech rewii.

W kancelarii Komisariatu Imigracyjnego przyjął nas inny urzędnik pocierając ręce:

— *Ça marche! Les Anglais avancent!*...

Ale we Francji jak to obecnie we Francji. Jedni mnie więzili bez jedzenia, a drugi

oświadczał się, że jest mu „penible“ traktować mnie jako więźnia. Tutaj ten się cieszy, że Anglicy idą naprzód, a tu wtem wpada Główny Komisarz z rykiem per „*imbeciles!*”

— Panie poruczniku — słyszę za sobą szept — w lipę go, czyli też w kałdun? To „szemrany chłopak“ z Warszawy informuje się w fachowy sposób“.

— Panie komisarzu — powiada Janko Rzykant — czując za sobą „głos ludu“ — pan się nie ma co tak ciskać. A trzeba wiedzieć, że Janko Rzykant mówi jak Paryżanin, szereg lat bowiem spędził na naszej placówce w Paryżu.

Hucząc jak trzmiel pan Główny Komisarz wylatuje z pokoju, a policjanci przystępują do rewizji osobistej. „*Vis!*“ dla pewności zostaje zasunięty na plecy i dobrze, bo z przodu po piersiach przejechały ręce łapaczy. A za nielegalne przechowywanie broni grozi sześć lat ciężkiego więzienia.

Porozsadzali całe to wojsko po celach z kryminalistami arabskimi. Cele roją się od wszy, w każdej celi w podłodze dziura klozetowa, ziejąca odorem.

Kiedy szli nieboraki do tych cel,

KRONIKA W. P. Ś. W.



OBCHÓD BOŻEGO CIAŁA NA ŚRODK. WSCHODZIE

Wojsko Polskie na Środkowym Wschodzie obchodziło tradycyjny dzień Bożego Ciała.

W miejscu postoju Dywizji Strzelców Karpackich, na obszernej polanie, naprzeciwko ołtarza polowego ustawiły się długie szeregi oddziałów dywizji, wszystkich rodzajów broni i służb. Na pierwszym skrzydle kompania honorowa ze sztandarem i orkiestrą.

Wzdłuż trasy, którą ma przechodzić uroczysta procesja, wystawiono ołtarze przybrane pomysłowo przez naszych żołnierzy.

O godz. 8.45 przybywa dowódca W.P.Ś.W. generał dywizji Józef Zajac. Orkiestra gra marsza generalskiego. Po odebraniu raportu od dowodzącego całością wyższego oficera gen. Zajac w towarzystwie gen. Zamorskiego i p. o. dowódcy dywizji płk. Ł. kieruje się w stronę głównego ołtarza polowego, gdzie za chwilę rozpoczyna się uroczysta Msza święta w towarzystwie kapelanów wojskowych przez ks. dziekana Brandysa odprawiona.

Po skończonym nabożeństwie i wystawieniu Najświętszego Sakramentu rusza uroczysta procesja, kierując się w stronę obozu. Wzdłuż długiej trasy widać nieprzerwane szpalery żołnierzy naszych. Na czele procesji kroczy poczet sztandarowy, dalej kompania honorowa. Idącego pod baldachimem celebransa ks. dziekana Brandysa prowadzi do pierwszego ołtarza gen. Zajac i gen. Zamorski, do następnego p. o. dowódca Dywizji płk. Ł., do dalszych ołtarzy inni wyżsi oficerowie. Przy baldachimie warta honorowa żołnierzy naszych z karabinami. Przybyłe na uroczystość dziewczęta ze szkoły polskiej w Tel Aviwie ubrane na biało sypią pod nogi celebransa kwiaty. W czasie śpiewania Ewangelii przy czterech ołtarzach kompania sztandarowa oddaje honory wojskowe.

Błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem i odśpiewanie „Boże Coś Polskę“ kończy uroczysty obchód Bożego Ciała, który stał się podniosłą manifestacją uczuć religijno-patriotycznych naszych żołnierzy.

W. S.

gdzieś z jakichś krat wołali do nich jacyś Polacy. A więc już są tacy, co trafili przed nimi.

Po paru godzinach dekoracja się znowu zmienia. Przyjechał jakiś najgłośniejszy na cały Tunis i kazał Polaków zmasować w sali szkolnej. Było tam wbród wody bieżącej, która czarnymi potokami spływała z „turystów gen. Sikorskiego“. Ostatni raz coś ciepłego jedli przed ośmiu dniami w Marsylii.

Ledwo zdążyli się odmyć — wkracza na salę kapitan żandarmerii w towarzystwie dwu zażywnych Arabów. Woda świeża nieco przywróciła humoru, bo ktoś puszcza wiadomość, że te grubasy przyszły sobie wybrać dwóch kandydatów na eunuchów.

Ale grubasy przykładają ręce do wszystkich życzliwych miejsc ludzkiego ciała i podczas kiedy odwalają pokłony, kapitan przedstawia ich z bardzo długą, z bardzo „ben“ i z bardzo „ali“ i z bardzo „ibn“ jako przyjaciół „Polonii“.

Grubasy kiwają głowami potakująco: „Vive la Pologne!“

— To ci cyrk — dziwuje się Warszawiak — tu krzyczą, tu chwala... .

Ale cyrk dopiero ma się rozpocząć. Zza pleców dwu notablów już od początku wyglądała jakaś lśniaca fizys, która teraz wysuwa się na plan pierwszy. Jest to Arab, właściciel restauracji miejscowej. Mówi po rosyjsku, bo był w Rosji. Dostojni „Ibn-henali“ i jak im tam, oby żyli wiecznie, pragną ugościć swoich polskich przyjaciół, którzy zaszczytili Tunis swoją wspianiałością i oto on, skromny sługa ich, pozwala sobie przedłożyć swoje niegodne tak wielkich panów potrawy.

To rzekłszy podaje wypisane po francusku menu.

— Niby jak? — baranieje Warszawiak.

— Frygać znaczy si dadzą na kont tych wujców — wyjaśnia Lwowiak.

Ależ dało bractwo koncert. Hors d'oeuvres... Owoce... Wina... Po sześć paczek papierosów na osobę.

Zażądali sprowadzenia i tych Polaków, którzy już dawniej siedzą. Administracja wzbraniała się, że nie ma nijakich Polaków. Bo

właśnie zrobili jakiś „raban“ i mieli iść „do karcu“. Zamiast do karcu jednak na stanowcze nalegania przyszli na bankiet. Był to lekarz, podchorąży i trzech żołnierzy. Odtąd byli razem.

Bractwo się odzarło za wszystkie czasy. Humory zrobiły się różowe i optymistyczne. Pocziwie Arabcy zapłacili rachunek przynoszący 10.000 franków i ulotniły się, zsypując masy błogosławieństw. Oczy poczęły się kleić, a tu nie ma na czym spać na pustej sali. Pewno szukają dla nas lokali po mieszkaniach prywatnych, a przecie byle gdzie europejskiego gościa nie umieszczą, musi więc to potrwać...

Już późno w noc zjawiają się okratowane karetki. No, cóż, nie ma się co obrażać. Dają taki środek lokomocji, jaki mają pod ręką.

Karetki zajeżdżają przed ponure gmaszysko. Więźniowie zostają wprowadzeni do sali — czerwonej od pluskiew.

— Ot tobie ordewry — konstatuje warszawiak.

POŻEGNANIE OFICERÓW HINDUSKICH

Wieczorem dn. 7 czerwca odbyła się skromna wieczerza koleżeńska w Kasynie Oficerskim O.Z.

W wieczerzy tej wzięli udział zaproszeni przez dowódcę O. Z. oficerowie polscy jednego z pułków ułanów z seniorem płk. W. na czele, szereg oficerów angielskich i hinduskich.

W czasie wieczerzy dowódca O.Z. wniósł toast na cześć króla angielskiego, po czym w krótkich słowach podziękował serdecznie hinduskiemu oddziałowi za rzetelną współpracę podkreślając znakomitą postawę żołnierzy i ich poważny stosunek do służby, życząc im sukcesów na nowym odcinku pracy.

W odpowiedzi na to oficerowie hinduscy powstawszy wnieśli chóralny okrzyk wojenny „Sikków“.

Dowódca O. Z. wręczył pod koniec każdemu z oficerów angielskich i hinduskich po orzełku polskim. Oficerowie hinduscy zapewnili, że ta miła pamiątka pozostanie w przechowaniu u każdego z nich na długie lata jako wspomnienie współpracy z oddziałami polskimi. W czasie kolacji przygrywała orkiestra pułku ułanów.

ŻOŁNIERSKIE POZDROWIENIA

Za pośrednictwem Światowego Związku Polaków z Zagranicy otrzymaliśmy następujące pozdrowienia dla Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie od znajdujących się w W. Brytanii żołnierzy-ochotników, pochodzących z Polonii Rumuńskiej:

„My, Polacy z Rumunii, obecnie w szeregach Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii, zebrani na koleżeńskim zjeździe dnia 29 marca 1942 r., przesyłamy swym Kolegom z Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie żołnierskie pozdrowienia. Myślą i sercem jesteśmy przy Was“.

Z CZOŁÓWKĄ NA NOWE M.P.

Na peronie aleksandryjskiego dworca jak zwykle tłumy. Jesteśmy zresztą do tego, dzięki ciągłym przejazdom przyzwyczajeni, ale dziś wśród tych tłumów — zwykle żołnierskich i co najwyżej arabskich — urozmaicenie: zespół pań angielskiego Concert Party p. B. Co robią tu — znane dobrze ze sceny całej Brygadzie — uroczce Angielki? Żegnają swoich partnerów z Czołówki Teatralnej W.P. Byliśmy naprawdę wzruszeni; przyszły się pożegnać i to nie tylko „te“ uczące się przy nas po polsku, te wykwalifikowane Kujawianki,

made in Alexandria, te śpiewające „czerwone jabłuszko“, ale i inne współpracujące z nami w angielskich, propagujących Polskę — występach. Lilian zwilgotniały oczy, Claude jest też niewyraźna. Jeszcze minuta, jeszcze pół... Pociąg rusza. Ostatnie, łamane „doo-widzenia“ i potem długo białe chusteczki w jeszcze bielszych rękach naszych Misses... zostaje w tyle dworzec, gubią się powiewające chusteczki.

149 występów dla Anglików — oto jeden z wycinków pracy propagandowo-artystycznej na terenie Egiptu. A dziś? Dziś — Palestyna. Nowe m.p. Zaledwie miesiąc upłynął, a już można by operować suchym wykazem cyfr, zamykających w sobie przedstawienia we wszystkich obozach żołnierzy, przybyłych z Rosji.

Cyfry, cyfry... a przecież tu nie o liczbę, a raczej o jakość chodzi. Cyfry są zanotowane po prostu dla ewidencji, dla porządku, a o tym drugim mówiły brawa żołnierskiej widowni, żołnierskie na przemian roześmiane czy wzruszone oczy, opinie ich dowódców i te gromkie okrzyki na cześć Karpackiej Brygady, które po każdym niemal rozlegały się przedstawieniu, a które dla Brygady odbieraliśmy my, by je z kolei pod właściwym przekazał adresem.

Bezwiednie przerzuciliśmy pomost, na którym spotkały się jednako czystego, polskiego słowa, muzyki i zdrowego, moralnego żartu — potrzebujące serca — tych stamtąd i tych stąd.

Tajemnica wojskowa nie pozwala wymieniać nazwisk, obozów, ani niczego ze skomplikowanej nomenklatury wojskowej, ale pozwala powiedzieć, że Czołówka Teatralna Sekcji Oświaty i Kultury Dłwa W.P.Ś.W stara się i na nowym m.p. sprostać zadaniom, jakie na nią włożono. K.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. Sz. Dziękujemy za miły list i tak czynną postawę wobec naszego apelu. Wiersze bardzo staranne, jednak do druku nie nie wybraliśmy. Za mało w nich prostoty i bezpośredniości.

Chor. R. M. Wiersz przeczytaliśmy z ciekawością i dziękujemy. Zapewne jednak trudno to będzie wydrukować. Może spróbowałby Pan coś krótszego.

J. W. „Lot Powrotny“ zamieścimy. Dziękujemy i prosimy nadal o pamięć.

W. Sz. Dziękujemy za reportaż ze szpitala. Poprawny ale po skreśleniu szczegółów, których nie wolno ogłaszać, straciłby przeważną część wartości.

I prywatne mieszkania, w których piękne jak marzenie Arabki myją wodą różaną stopy bohaterów.

Rozpoczęły się długie dni. Śniadanie — lura imitująca kawę i kawał chleba. Obiad, makaron ze straszliwym zielskiem, które ma rzekomo właściwości dezynfekujące kiszki. Kolacja — duży bób w brudnej wodzie. W bobie focus pocus: gdy go się przełamie, wyciąga się robaka trzykroć dłuższego niż sam bób.

Po czterech dniach przywieźli nową partię: dwudziestu czterech Polaków. Dwu z nich nie wytrzymało drogi, wylamali drzwi, poczęli wyć. Krótko — dostali szału. Koledzy ich skrępowali, ale już było za późno.

Po pięciu dalszych dniach przywożą i łączą do naszej grupy Anglika lotnika z Francuzem. Anglik łądował przymusowo we Francji nieokupowanej, Francuz schronił go i razem uciekali z boszowej Francji. I razem wpadli.

W tej, ostatecznie ustalonej kompanii, mija dwa miesiące.

W pewnym momencie zjeżdża sędzia śledczy z Bizerty z sekretarzem i z naszym nieoficjalnym konsulem Dąbrowskim. Konsul Dąbrowski został po zwinięciu konsulatu polskiego i wiele nam świadczył i z serca i z własnych szczupłych oszczędności.

— Chłopaki, będą nas brać pod włos, kto nam pomagał szwarcować się tym „Szato Pawie“ — poszło po więzieniu. — Choćby tam który i dukał „oui“, „pardon“ — nie gadać nic! Janko Ryzykant niech za wszystkich pyskuje, bo tak, to będziem sprzecznie zeznawać i będzie krewa.

Janko Ryzykant staje przed wysokim obliczem sędziego:

— Jak dowiedzieliście się, że ten statek płynie do Afryki?

— Po knajpach mówili... (akurat byśmy na niego leźli, jakbyśmy wiedzieli, że nas na Tunis zaiwani...)

— A jakeście weszli na statek?

— Po desce...

— Musieliście przekupić marynarzy?

— Z czego? Z tych 900 franków miesięcznego zasiłku?

— Nie chce Pan nic zeznawać...

— *Il ne s'agit pas de vouloir, il s'agit de savoir.*

— Wprowadzić pierwszego marynarza!

Wprowadzają żywą galaretę ludzką: trzęsie się nieborak jak liść osinowy.

— Panie sędzio! Jak do Polski wrócić pragnę — pierwszy raz widzę to oblicze!

Wprowadzają galaretę numer 2.

— Na oczy nie widziałem.

Numer 3!...

— Pojęcia nie mam...

— Pan jest twardy!

— *Il ne s'agit pas de vouloir...*

Nie na darmo słynie jako pierwszoklasny Francuz nasz — Jasio Ryzykant.

(D.c.n.)

Jerzy Łużyk.

OSTROŻNIE!

„Słowo wróblem wyleci, a wołem powróci“.

(Przysłowie ludowe)

Scalanie się armii polskiej na Środkowym Wschodzie było stosunkowo łatwe, dopóki różnorakie elementy, ściągające do niej z wielu krajów, ba, części świata, przybywały stopniowo, skromnymi strumyczkami łatwo wsiąkającymi w ogólną atmosferę Brygady Karpackiej. Zetknięcie się całej Brygady i związanych z nią oddziałów z potężnym prądem żołnierzy przyjeżdżających z Rosji stało się zagadnieniem o wiele trudniejszym. Tym bardziej, że obie strony mało o sobie nawzajem wiedziały, rodzaj zaś doznanych przejść fizycznych i duchowych był tu i tam zgoła odmienny.

Obawy, na szczęście, okazały się płonne, jednocześnie się wojska odbywa się dotąd na ogół pomyślnie. Obie strony oczekiwały przecież spotkania się z niecierpliwą ciekawością i sympatią. Każdy spodziewa się wyszukać znajomych, a przynajmniej dowiedzieć się o znajomych, każdy chce widzieć i poznać nieznaną mu dotąd szmat polskiej, tak niedawnej, rzeczywistości. Dokoła przyjeżdżających oddziałów tworzą się wnet grupy ciekawie wypytujących się nawzajem. Stąd już krok tylko do nowych znajomości i przyjaźni.

Nie brak po obu stronach uznania, czasem podziwu dla strony drugiej.

Oni już tam, w śniegach i tajgach zetknęli się z legendą Karpackiej Brygady, zazdrościli żołnierzom Brygady możliwości czynu. Po przybyciu dowiedzieli się, że legenda nie była bajką, że Brygada rzeczywiście nie zawiodła, nie przyniosła wstydu tradycji polskiego wojska.

My, „Afyrykańczycy“, z radosnym podziwem stwierdzamy, że po dwuletnich z górą przejściach, o jakich nam się nie śniło, ci koledzy nie są zniechęceni, nie marzą o długim wypoczynku, wykazują piękną postawę żołnierską, ochoczo poddają się twardej dyscyplinie, chcą być wzorowym wojskiem i jak najprędzej zmierzyć się ze zniechęconym wrogiem.

Stąd wzajemny szacunek, wzajemne zaufanie, pewność po naszej stronie, że i oni nie gorzej stawaliby i będą stawali w walce, pewność po ich stronie, że i nas nie zalamiają najcięższe nawet warunki. Jednego przecież plemienia, jednej krwi jesteśmy.

Na tym tle ogólnym zaznaczyły się plamki, na razie odosobnione i zrozumiałe tam, gdzie wśród dziesiątek tysięcy nie wszyscy mogą reagować jednakowo, zasługujące jednak na zajęcie się nimi i przemyślenie przez ogół. Wszyscy bowiem jesteśmy w najwyższym stopniu zainteresowani w tym, by nikomu nie udało się, rozmyślnie czy przez lekkomyślność, zmącić harmonijnego przebiegu stapania się naszych oddziałów.

Mam na myśli tych parę nieporozumień, które ostatnio doszły do wiadomości redakcji, nieporozumień w swej istocie błahych, ale z tego powodu nad wyraz smutnych, że wydarzyły się między przybyłymi z Rosji z jednej a żołnierzami Brygady Karpackiej z drugiej strony. Przebieg był niemal zawsze podobny: ktoś zaczął się chwalić swymi czynami, ktoś inny nie okazał dla nich dostatecznego zachwytu. Na tym tle powstała kłótnia, w której sypały się zarzuty już nie pod adresem osób obecnych, ale tych lub tamtych oddziałów. Nie trzeba dodawać, że dojsć do tego mogło dopiero po kilku „głębszych“.

Nie o to już tylko chodzi, że naruszona została dyscyplina, czy spokój publiczny i to na oczach cudzoziemców. Tu chodzi o coś więcej: o ten osad goryczy, wzajemnej niechęci, podejrzliwości, który po obu stronach mógłby powstać. Każdy „bohater“ zajścia nie omieszką przecież pochwalić się przed kolegami. Przedstawi sprawę, rzecz ludzka, w świetle najbardziej dla siebie przychylnym, a przez to samo najmniej korzystnym dla „przeciwników“. Nastroje zaś ujemne tak łatwo okazać się mogą zaraźliwe wśród ludzi oderwanych od kraju, od zwykłego trybu życia, często przewrażliwionych, czasem o nadszarpniętych nerwach.

I oto cały kapitał rodzącej się przyjaźni, koleżeństwa, zaufania może być narażony na zmarnowanie. Pamiętajmy, że żołnierz w ogóle, a żołnierz polski w szczególności posiada wyczuloną ambicję, skłonny jest łatwo podejrzewać, że ktoś chce go obrazić, a co najmniej, że ktoś nie docenia jego wartości.

Oprócz nas, żołnierzy polskich przychodzących z przeróżnych stron i różnymi szlakami, ale zmierzających do jednego tylko, wszystkim drogiego celu, istnieje *nieprzyjacieli*, zainteresowany w tym właśnie, by nie dopuścić do scementowania polskiego wojska w monolit, by mnożyć właśnie i rozdźwięki. Pomyślmy, że zaperzając się o drobniaczki i szerząc na tym tle niechęć do kolegów, których losy potoczyły się inaczej niż nasze, ale doprowadziły pod ten sam sztandar, działamy jak najlepsi ajenci osławionej 5-tej kolumny. Istotnie, cóż innego mógłby uczynić wrogi prowokator z większym dla swego sztabu pożytkiem, jak powiedzieć chłopcom z Brygady: „Pokażcie tym fuksom, świeżo przybyłym, co jeszcze prochu nie zdążyli powąchać, wasz w pustyni nabyty fason. Nauczcie ich, że muszą zapracować, żeby się z wami porównać. Nie sztuka siedzieć w więzieniach czy obozach, gdy się nie ma innego wyboru. Ale prawdziwe, bojowe wojsko, to tylko wy.“ A równocześnie tym przybyłym: „Czy widzicie, jak ci z Brygady Karpackiej się puszą, uważają się za coś lepszego od was. Dlatego tylko, że los dla nich łaskawszy pozwolił im walczyć, o czym wyście jedynie marzyli, narażać się z bronią w ręku, gdy wyście musieli narażać się nieustannie bez broni, bez rozkazu, bez koleżeńskich szeregów. Wam się należy pierwszeństwo, bo wyście więcej wycierpieli, trudniejszą toczyliście walkę.“

Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby którykolwiek z uczestników wspomnianych nieporozumień działał świadomie ku uciesze p. Goebbelsa. Nie mniej ten ostatni mógłby z zadowoleniem zacierać ręce, gdyby udało mu się zaprząć do swoich celów naszą próżność, naszą lekkomyślność, nasz brak odpowiedzialności za słowa. Zapewne: przyjemniej jest wiedzieć, że przyczyną zajścia była choćby głupota (przepraszam czytelników za użycie tego słowa) niż zła wola, ale skutki są, niestety, te same.

Nie jest także ważne, która strona była winna rozpoczęcia kłótni: z reguły w podobnych wypadkach spór zaostrza się stopniowo i każdy uważa się za sprowokowanego przez drugą stronę. Właściwie zaś winien jest i ten, który pierwszy wyrazi się nietaktownie, jak i ten, który na to zbyt ostro odpowiada, a zwłaszcza kto z nietaktu jednostki wyciąga ujemne wnioski o szerszej grupie.

Teraz apel specjalnie do kolegów „Afyrykańczyków“: na nas, dłużej przebywających na Środkowym Wschodzie,



Fragment obozu W. P. w Rosji.

spada obowiązek gospodarzy. My powinniśmy przyjeżdżających otoczyć atmosferą gościnności i serdeczności. My osobliwie brzydko wyglądamy, jeśli wobec nich chcemy „zadzierać nosa“. Wystarczy, że uczyni to kilku, aby o nas wszystkich mieli nieszczególne pojęcie. Tym bardziej, że i oni wiedzą, że ludzie o rzetelnych wartościach pozostają skromni, nie lubią się chwalić. Czyście zauważyli, że i w Brygadzie ci, którzy ponieśli rany, którzy zasłużyli na odznaczenia, o których wszyscy wiedzą, że byli w akcji wzorem dla innych — nie robią wcale hałasu dokoła swego bohaterstwa. Wystarczy im poczucie dobrze spełnionego obowiązku. W tym właśnie wyraża się kultura, przeciwieństwo duchowego chamstwa, które głośno reklamuje własne, często rzekome, wartości. wynosząc się nad innych. Nie spychajmy też winy na alkohol: gentleman, a każdy polski żołnierz powinien być gentlemanem, t. zn. dobrze wychowanym, kulturalnym duchowo człowiekiem, pozostaje sobą w każdym towarzystwie, nawet w towarzystwie butelki.

Michał Ciołek.

PORAŻKA NIEMCÓW POD JAROSŁAWIEM

Wyjątek ze wspomnień niemieckich uczestników walk w Polsce. Siegle: „Luftsiege in Polen“, str. 116-118.

13 września 1939 r. niemiecki oddział rozpoznawczy wyjechał z Jarosławia w kierunku Przemyśla, aby odciąć drogę odwrotu polskim oddziałom. Oddział niemiecki składał się z 30 strzelców motocyklowych, 200 strzelców na samochodach, 6 karabinów maszynowych i 2 przeciwlotniczych działek — 2-centymetrowych, zmontowanych do rżnię na samochodach ciężarowych. Ogółem 300 chłopów.

W szalonym pędzie jechaliśmy wiejskimi drogami. Późnym popołudniem musieliśmy zwolnić bieg wjeżdżając w las. Przed nami wynurzyły się domy małej wioski, położonej w wąskiej dolinie wśród lasu.

Nagle przed nami pojedyncze strzały, a potem ciągły ogień karabinowy. Nieprzyjacieli! Krzyki: „Działka przeciwlotnicze naprzód!“ Za krzakami z prawej strony był ukryty polski ciężki karabin maszynowy, który strychował drogę.

Otworzyliśmy ogień z działka, podobny w odgłosie do ognia karabinu maszynowego. Polacy zaczęli się wycofywać ze wzgórz wzdłuż drogi, ścigani dalszymi granatami.

Powoli, strzelając raz po raz, jechały działka na samochodach przez wieś, aż do skrzyżowania z główną szosą do Przemyśla. I tu stał ciężki polski karabin maszynowy, który został zmuszony do milczenia. Tymczasem piechota obsadziła wzgórze i zajęła wieś.

Jest zupełnie ciemno. Działko przeciwlotnicze zostaje zluźwane przez drugie działko i wraca do wsi.

Nagle ogień nieprzyjacielski z powrotem się ożywia. Rakiety wznoszą się tu i tam do góry. „Alarm pierwszego działka!“ woła nasz porucznik. Natychmiast na skrzyżowanie drogi! Zluźwać drugie działko, które ma strzaskany przyrząd nastawniczy i jednego kanoniera rannego.

Na wóz i do przodu z powrotem, ognia!

Ale Polacy już nie ustępują. Słychać nawet polskie komendy. Granaty ręczne wybuchają całkiem blisko samochodu ciężarowego z działkiem. Podchodzą aż na 40 kroków. Ogień coraz się wzmaga.

Położenie zaczyna być nieprzyjemne. Gdyby Polacy wiedzieli, że tylko 300 ludzi było w tym wąwozie, byłiby nas dawno obeszlili i odcięli. Wtem nadjeżdża goniec na motocyklu. Polacy już wdarli się do wsi i odcinają nas. Nie ma chwili do stracenia, gdyż zaczyna bić polska artyleria.

Pierwsze działko przeciwlotnicze ubezpiecza od tyłu i posuwa się jako ostatni wóz. Powoli odjeżdżają samochody z powrotem. Ostatni wóz z działkiem pod dowództwem porucznika. Ciągłe każe on strzelać do nacierających Polaków. Polacy są już całkiem blisko, częściowo wymięli samochód z działkiem, a tu jeszcze 15 wozów musi odjechać. Na koniec przychodzi meldunek, że wozy wyjechały.

Wtem po ciemku samochód najechał na porzucony motocykl. Motor i bak są uszkodzone. Prędko dajemy znać o tym przedostatniemu wozowi. Podczas, gdy kule karabinów ręcznych i maszynowych gwizdzą nam dookoła uszu, gdy tu i tam wybuchają granaty ręczne, wóz nasz zostaje doczepiony do samochodu z kuchnią polową.

Odjeżdżamy powoli, strzelając z działka i kryjąc odwrót kolumny.

Oto przykład, jak wrażliwa jest kolumna zmotoryzowana na zasadzkę w cieśninie. Zwalenie paru drzew u jej czoła i ogona, nie pozwoliłoby Niemcom wyprowadzić ani jednego wozu. I w tym wypadku Niemcy ponieśli ciężkie straty i zadania swego — odcięcia Polakom odwrotu — wykonać nie zdołali.



ZANIK PRZEWAGI LUFTWAFFE

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Przewidywania w tej wojnie są niezmiernie ryzykowne. Wszyscy oczekiwali, że głównym wydarzeniem wiosennym będzie wielka, generalna ofensywa w Rosji. Wiosna kalendarzowa tymczasem już mija, a do ogólnego natarcia wojsk Hitlera na froncie sowieckim nie doszło. Kanclerz Rzeszy wyraźnie zmienił taktykę. Jak dotychczas, zamiast uderzać na całym froncie, naciera na poszczególnych odcinkach, by wyrównywać linię frontu, usuwać bazy wypadowe wroga i przygotować sobie punkty wyjściowe do dalszych uderzeń. Zapewne trudności komunikacyjne oraz konieczność oszczędzania sił ludzkich i sprzętu skłania go do tych znacznie ostrożniejszych posunięć.

Po zajęciu Kerczu, wojska Rzeszy zabrały się do drugiej twierdzy sowieckiej na Krymie — Sewastopola. Na tarcie to było do przewidzenia. Nie można sobie wyobrazić właściwego uderzenia na Kaukaz z nietkniętą bazą morską, jaką jest Sewastopol, na tyłach. Ofensywa na Kaukaz wymaga sparaliżowania działalności floty sowieckiej na Morzu Czarnym, która między innymi w oparciu o Sewastopol rozwija swą działalność.

Wiele objawów wskazuje na to, że drugim celem uderzenia niemieckiego będzie północny odcinek frontu rosyjskiego. Pobyt kanclerza Hitlera w Finlandii — jest to jedyny „sprzymierzony“ z Rzeszą kraj, który poza Włochami odwiedził Fuehrer — miał niewątpliwie na celu skłonienie Finów do podjęcia ofensywy w kierunku na Murmańsk i Leningrad bez względu na pomoc, jakiej mogą udzielić dziś Niemcy. Uczucia w stosunku do wojny są dość mieszane w Finlandii, która przede wszystkim nie liczyła się z tak długim i wyczerpującym trwaniem zmagania z Rosją. Sympatie ludności Finlandii dla państw anglosaskich, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, są ogólnie znane. Rząd fiński podkreśla też stale swój „niezależny“ punkt widzenia w tej wojnie. Walczy on z Rosją, ale, jak to systematycznie zaznacza, wyłącznie w obronie swoich spraw. Tego rodzaju linię trudno jednak utrzymać w praktyce po związaniu się z zachłannymi Niemcami, których nacisk na Helsinki musi być silny i opierać się może na twardych argumentach.

Kanclerz Hitler oświadczył ostatnio swym fińskim gospodarzom, że „Rzesza i Finlandia znalazły się w tej samej łodzi i muszą walczyć wspólnie, by nie zatonąć“. Ze słów tych wynikałoby, że są może w Finlandii czynniki, które chciałyby z tej łodzi wysiąść. Stąd zapewne osobiste pofatygowanie się Hitlera do tego odległego kraju, skąd jedynie może wyjść uderzenie odcinające Rosję od dostaw brytyjskich i amerykańskich, idących na Murmańsk i Archangielsk. Niemcy zapewne obawiają się również, że uderzenie sowieckie na Finlandię w kierunku Norwegii mogłoby w pewnej chwili doprowadzić do wytworzenia tam wspólnego frontu sowiecko-brytyjskiego, niezmiernie groźnego dla planów niemieckich nad Bałtykiem i nad Atlantykiem. To są powody ewentualnego ożywienia działań na północy, nie mówiąc już o tym, że sukces niemiecki pod Leningradem przydałby się bardzo wyjąłowanej już propagandzie niemieckiej.

O ile jednak na froncie sowieckim — poza odcinkiem sewastopolskim — trwa względny spokój i dopiero zapewne latem dojdzie tam do wzmożenia walk, na zachodzie napięcie zmagania znacznie się zwiększyło również wbrew ogólnym przewidywaniom. W Libii wielka bitwa czołgów na Zachodniej Pustyni trwa już dwa tygodnie. Niemcy do-

łali połączyć obie wytworzone przez siebie wyrwy w pozycjach brytyjskich przebijając jedną wyrwę o szerokości 16 km. Sukces ten nie dał im wszakże oczekiwanych wyników. Walki nie posunęły się dalej na wschód poza punkt zwany „Rycerskim Mostem“ (na mapie „Knightsbridge“), a wojskom brytyjskim udało się nawet wyprzeć oddziały Rommla w kierunku zachodnim. W dniu 2 bm. sojusznicy zajęli punkt Tamar około 10 km na zachód od „Rycerskiego Mostu“. Obecnie walki rozgrywają się głównie dookoła tzw. „Diabelskiego Kotła“, położonego również na zachód od „Rycerskiego Mostu“. Sprawozdawcy angielscy nazywają „Diabelski Kocioł“ wewnętrznym portem niemieckim, skąd pancerne kolumny wroga wykonują wypadki w różnych kierunkach. Walka na pustyni przypomina jak wiadomo pod wielu względami walkę na morzu. Piasek zastępuje wodę, a czołgi — okręty wojenne. Nietyle pusta przestrzeń i niezamieszany teren jest celem walki, co przede wszystkim zniszczenie sprzętu i broni wroga. Ilość zdruzgotanych czołgów i samolotów staje się tam bardziej istotnym wskaźnikiem wyniku walki, niż zajęcie takiego czy innego punktu.

Nieustanne wszakże natarcia oddziałów „osi“ na Bir Hakeim — najbardziej na południe wysunięty punkt w pozycjach sojuszników — jest dowodem, jakie znaczenie przywiązuje Rommel do tego miejsca. Zdobycie go pozwoliłoby bowiem obejść linie brytyjskie od południa w kierunku Tobruku i ułatwić drogę pustynnym konwojom z dostawami. Bir Hakeim broniony jest dzielnie przez garnizon francuski, który kilkakrotnie odrzucał już propozycje kapitulacji. Działające w pobliżu kolumny brytyjskie manewrem okrążającym zajęły swego czasu punkt zwany „Rotunda Segnali“ na wschód od Bir Hakeim. Inne działające bardziej na północ, osłabiają nacisk wroga na tę pozycję.

Obecnie po chwilowej przerwie na głównym odcinku frontu pancerne dywizje brytyjskie i niemiecko-włoskie stoją znowu na przeciw siebie, szykując się do dalszej fazy walki. Generał Ritchie, dowódca 8 armii brytyjskiej, jest dobrej myśli. Co prawda, oddziały sojusznicze poniosły straty, co, zdaniem Londynu, utrudnia wyparcie wroga na pierwotne pozycje. Nieprzyjaciel jednak ma niewątpliwie szkody większe niż oczekiwał. Setki czołgów, wozów pancernych i ciężarowych wroga uległo zniszczeniu. Szczególnie skutecznym narzędziem walki okazał się nowy gigantyczny czołg amerykański typu „Generał Grant“, wyposażony w działo 75 mm oraz znane francuskie działo 75 mm, zdobyte rok temu w Syrii, które znowu oddały wielkie usługi w walce z bronią pancerną. Również lotnictwo brytyjskie utrzymało przewagę na froncie libijskim. Było ono czynne nie tylko nad teatrem wojny, ale przeprowadzało odległe wypadki na Sycylię, Sycylię i Neapol.

Bez względu na dalsze wyniki walk w Libii, bez względu na to, czy Niemcom uda się utrzymać zdobyte tam nowe pozycje, co wydaje się być głównym ich obecnie celem, „Blitz“ na Zachodniej Pustyni nie udał się. Wielka to zasługa lotnictwa brytyjskiego. Wojna błyskawiczna była możliwa wówczas, gdy Niemcy rozporządzały bezwzględna przewagą w powietrzu. Z chwilą zanikania tej przewagi zaczęły usuwać się również warunki dla działań błyskawicznych. Jednym z najbardziej znamienitych objawów obecnej sytuacji wojennej jest też upadek przewagi Luftwaffe.

Wyraża się to również w braku właściwej reakcji lot-

nictwa niemieckiego na naloty brytyjskie. W ubiegłym tygodniu samoloty sojusznicze w dalszym ciągu bombardowały Niemcy. Zagłębie Ruhry, Essen, Bremen, Emiden, nie mówiąc o zachodnich krajach okupowanych, były celami wielkich nalotów. Reakcja Niemców na nie była niezmiernie słaba. Wyznał to naczelny redaktor „Frankfurter Zeitung“ Rudolf Kircher, który w piśmie swym stwierdził: „Niemcy nie mogą obecnie oddać Anglii jej uderzeń powietrznych z należytą siłą. Nie sprawimy jej przyjemności — tłumaczył p. Kircher — zmieniając nasze plany i zmniejszając nacisk na Rosję“.

Tymczasem jednak zwiększa się nacisk brytyjski na Rzeszę. Kilkakrotne ostrzeżenia, udzielone przez radio londyńskie ludności francuskiej, by opuściła nadbrzeżny pas Francji od granicy Hiszpanii aż po Belgię, ze względu na możliwość wielkich nalotów brytyjskich na te obszary, są nową zapowiedzią działań na wielką skalę, które w pewnej chwili rozwiną się na zachodzie. Z tej strony grozi Niemcom burza, przed której nadejściem powinni conajmniej zlikwidować front rosyjski. Lecz czy im się to uda?

Przemawiając w Waszyngtonie lord Halifax, ambasador W. Brytanii w Stanach Zjednoczonych oświadczył, że „Hitler zdaje już sobie sprawę, że wojny wygrać nie może“. A brytyjski minister produkcji Lyttelton, przybywszy do Ameryki, zaznaczył, że gdyby Hitler i Mussolini zobaczyli przygotowania wojenne, czynione w Stanach Zjednoczonych, poddałby się natychmiast, albo też palnęliby sobie w łeb. Produkcja Anglii dochodzi już do punktu szczytowego, lecz amerykańska ma jeszcze nieograniczone możliwości. Sprzymierzeni wygrali już walkę w dziedzinie wytwórczości, teraz muszą wygrać bitwę w zakresie żeglugi, co da dopiero podstawy do zwycięstwa.

W zakresie żeglugi i walki na morzach nadeszły tym razem pomyślne wiadomości z Pacyfiku. Siłom amerykańskim udało się odeprzeć potężny najazd floty japońskiej na wyspę Midway na Pacyfiku przez zadanie wrogowi ciężkich strat. 16 okrętów wojennych Japonii poszło na dno albo też zostało poważnie uszkodzonych. Między innymi zatoniły dwa, a może trzy lotniskowce wroga z 13 posiadanych w chwili wybuchu wojny. Między innymi uległ zniszczeniu wielki lotniskowiec o wyporności 27.000 t z 60 samolotami. Straty, jakie Japonia poniosła w tej bitwie morskiej, są większe od tych, które sama zadała Stanom Zjednoczonym w czasie pamiętnej napaści na Pearl Harbour w dn. 7 grudnia ub. r. Japończycy sami przyznają się do straty jednego lotniskowca i poważnego uszkodzenia drugiego.

Jest to już drugie zwycięstwo nad flotą japońską na



Teatr wojny w Libii

Pacyfiku. Pierwsze nastąpiło na początku maja, kiedy inwazyjna flota japońska, udająca się w stronę Australii, została rozbita u brzegów wysp Salomona. W Waszyngtonie uważają, że w pół roku po wybuchu wojny z Japonią, karta na Pacyfiku wyraźnie odwraca się. Stany Zjednoczone dążyć będą przede wszystkim do zniszczenia sił Japonii na morzu. Odebranie zdobyczy japońskich stanie się wtedy zadaniem o wiele łatwiejszym.

Nie ulega jednak wątpliwości, że Niemcy nie będą mogli liczyć już na Japonię w tym stopniu, co dotychczas. I tam skończy się Blitz. Lecz zapewne również i ten wzgląd wpływa na przekonanie wielu Niemców, że wojny wygrać nie mogą. Może dlatego wzmagają oni terror w krajach okupowanych, chcąc bronić się środkami bezwzględny. Przeciwno dalszej fali terroru w Polsce rząd polski złożył nowy protest, który został uzasadniony w obszernym przemówieniu radiowym Premiera i Naczelnego Wodza szeregiem wstrząsających przykładów okrucieństw niemieckich.

D. I.

Herr Oberleutnant von Blitz... ląduje

Oberleutnant Otto von Blitz, pilot „nieustraszonego i dzielny“, odznaczony przez samego Führera Żelaznym Krzyżem, leciał z swoją załogą na wysokości 3000 metrów i tracił panowanie nad sobą, klnąc w sposób nie odpowiadający ani jego randze, ani urodzeniu.

Ale jak nie miał kłać Oberleutnant von Blitz, skoro nagle zawiodły wszystkie precyzyjne przyrządy pokładowe, a „sekcja“ operacyjna nie odzywała się na radiowe wołania.

Przed oczyma przedstawiciela „Herrenvolku“ przewalała się burza śnieżno-deszczowa, dłonie z trudem panowały nad sterami, oczy nie widziały nic, a na dobitkę obliczenia obserwatora okazały się niezupełnie w porządku, gdyż pilot najwyraźniej błędził.

— „Donnerwetter! Co za cholerna pogoda! Und Er stellt sich vor dies verfluchte Land zu erobern! — Zrzuć bomby! — krzyknął z pasją do obserwatora — będę zawracał!“

Obserwator posłusznie wykonał rozkaz, upatrując długo znanego błysku w dole, mijały jednak minuty, a oczekiwane światło nie ukazywało się.

Poszły w morze — mruknął zły, zajmując swe nawigatorskie miejsce.

Otto von Blitz zatoczył szeroką rundę biorąc kurs na południe.

— Obniżę lot, — myślał — może w tej przeklętej pogodzie dojrzę, gdzie jestem?

Silniki jęczały w szalącej wichurze. Radiotelegrafista

daremnie wywoływał stację operacyjną — nie odzywał się nikt. W pewnej chwili Otto von Blitz zdecydował zawrócić, będąc pewny, że leci źle.

Znów zrobił przepisową rundę mocując się ze sterami.

W tym czasie na smukłym Hurrricane, leciał niemal po tej samej trasie polski pilot porucznik Z. Kłął również lecz nie z powodu, iż strugi deszczu i śniegu zasłaniały mu cały świat, lecz że w tej psiej pogodzie nie mógł odszukać „szkopa“ awizowanego na stacji.

— Cholera z tym deszczem, — diabła prędzej zobaczę niżli tego drania, hallo... — krzyknął do radia.

— Hallo — odpowiedziała stacja.

— Zaczynają mi się nie podobać moje przyrzędy... hallo... słyszysz? Podaj mi kurs.

— Hallo... jesteś na kursie X... na wysokości Y. Powtórz...

Pilot powtórzył.

— A gdzie szwab? Hallo...

W tej chwili radio przerwało. Porucznik Z. leciał dłuższą chwilę nim znów posłyszał znajomy głos.

— Hallo... gdzie szwab? — pytał uparcie.

— Nie martw się o szwaba, — pogoda coraz gorsza, wracaj na lotnisko. Poprowadzę cię do samego lądowania. Weź kurs Y i nie trać ze mną łączności. Lotnisko będziesz miał przygotowane.

— O key! — zaśmiał się pilot. Oświećcie lotnisko.

Znów chwila ciszy.

— Uwważaj Zbyszek schodzisz z kursu, na prawo... na prawo...

— Wiatr się wścieka — odpowiada pilot — schodzę na prawo.

— Dobrze, — dobrze... trzymaj się tego kursu, — jeszcze na prawo... tak dobrze. Kazałem ci zapalić światła i będę cię prowadził.

O key! — odpowiada pilot.

Znów cisza. Wiatr rzuca maszyną Zbyszka na wszystkie strony.

— Hallo Zbyszek... Hallo!

Cisza.

— Hallo Zbyszek! ... Hallo!

Z daleka słychać przytłumiony głos pilota.

— Hallo, schodzisz z kursu...

— Wiem, to ten przeklęty wiatr, — brzmi przerywana odpowiedź.

— Gdyby cię zniosło, masz na kursie A lotnisko X. możesz tam siadać. Zaraz ich zawiadomię, zjeżdż trochę na lewo.

Cisza.

— Słyszysz Zbyszek? powtórz...

Pilot powtórzył.

Dyżurujący kapitan śledzi kolegę na swej tablicy wydając równocześnie zarządzenia przez telefon.

— Hallo...

— Jestem...

— Zbliżasz się do lotniska... uważaj... prowadzę cię. Światła zapalone.

— Dobra!

Chwila ciszy i za chwilę znów.

— Hallo...

Cisza.

— Hallo, Zbyszek... hallo!

Pilot nie odpowiedział. Świetlny punkcik znikł nagle sprzed oczu dyżurującego kapitana.

**

Herr Oberleutnant von Blitz poczuł zimny dreszcz w okolicy serca. Coś nie było w porządku. Napewno jest już nad Francją. Pogoda podła jakiej dawno jego oczy nie

oglądały, ale mogliby u diabła dać jakiś znak z ziemi. Ta wichura wytrąci mu stery z rąk. Otto von Blitz jest zmęczony, śmiertelnie zmęczony, ale nie chce oddać sterów towarzyszowi. Jest na to za ambitny. Cóżby sobie taki podoficer pomyślał o nim, odznaczonym przez samego Führera? Raczej grzmotnąć tą maszyną w dół! Nagle przypomniał sobie żonę i dzieci. Coś mignęło mu przed oczyma.

— Teufel! Też sentymenty — zakpił sam z siebie — dadzą jej innego i będzie zadowolona.

Ale w głębi duszy zhitleryzowanego arystokraty, rodzi się poczęło pytanie, dlaczego właściwie ma ginąć. Po co ta cała awantura? Przecież mają już całą Europę. Rosję mogą diabli wziąć, po co było się tam pchać? —

Wichura rzuciła maszyną. W samolocie panowała śmiertelna cisza, — nikt się nie odzywał, — nikt się nie pytał.

Nagle ponure myśli von Blitz przysły, bo oto tam, w dole, szereg nikłych światełek zamurgało do niego przyczajnie, a gdzieś z boku świetlna miotła reflektora pokłoniła mu się parokrotnie, zamiatając drogę do lądowania.

— Herrgott! Lotnisko! — odetchnął pełną piersią, przypominając sobie nagle dawno zapomnianego Pana Boga. Ależ masz węch! Czułem, że dobrze lecę...

Zatoczył rundę, zamrugął światłami skrzydłowymi w podziękę za wskazanie drogi i na zmniejszonej szybkości zaczął podchodzić do lądowania. Miotła reflektora, roztrącając strumienie deszczu, kładła się umykającym dywanem pod koła olbrzymiego Ju 88.

— Za minutę będę w kasynie — uśmiechnął się Oberleutnant von Blitz do ciepłych myśli, kołując po lśniacym od deszczu lotnisku.

Wreszcie stop. „Ju“ odsapnął zadowolony. Jeszcze drgały śmigła obracając się coraz wolniej.

Otto Blitz wyskoczył pierwszy... i okrzyk niemiłego zdumienia zamarł na jego ustach. Otoczony został przez dziwnych ludzi... mieli twarze łobuzersko rozbawione wstrzymywanym uśmiechem.

Niepewnie zapytał o kasyno i nagle serce w nim zamarło z przerażenia. Ci żołnierze o rozbawionych twarzach, mieli na furazerkach znane, białe orzełki.

Chciał się cofnąć, lecz nagle błysnęły lufy karabinów.

— Was ist das? Gdzie jestem?

— You are in England and arrested as a prisoner of war — brzmiała spokojna odpowiedź dowódcy „Home Guard“.

Za nim uśmiechały się twarze tych, którzy mieli zniechęcone orzełki na furazerkach.

**

— Bo widzisz — mówił na drugi dzień Zbyszek w kasynie do przyjaciela — w ciemności nagle przesunął się przede mną cień. Wiesz jak to w nocy i podczas burzy? Czasem się wydaje, a w rzeczywistości to tylko złudzenie. Myślałem, że poprostu jakaś mgła czarna na oczy mi padła. Tymczasem przede mną o jakieś 100 metrów dojrzałem skrzydłowe światełko. Wiedziałem, że nikt oprócz mnie nie startował. Rozpiętość światełek nie wskazywała by to mógł być myśliwiec. Domyśliłem się, kto to może być. Gdy ujrzałem, że zatacza rundę, postanowiłem przeczekać. Wiedziałem, że zrobi zator swoim olbrzymim diabłem i że nie będę mógł siadać, przeto poleciałem na lotnisko X., gdzie pogoda była znośniejsza. Wyobrażałem sobie twoje zdumienie, gdy zamiast mnie wylądował na lotnisku szkop!

— Jego zdumienie było większe — zaśmiał się kapitan S. — Herr Oberleutnant von Blitz miał chyba pierwszy raz w życiu tak przykre lądowanie.

Babinicz.

„Skrzydła — Wiadomości ze świata“

HUMOR ANGIELSKI

WYNALAZEK

Z Europy donoszą o nowym wynalazku lotniczym. Jest nim samolot, który posiada także bieg wsteczny. Przypuszczają, że chodzi o wynalazek włoski.

(„Co Słysać?”)

ZNA JĄ DOBRZE

Dzwoni telefon. Pani domu podchodzi do telefonu.

— Halo, czy to Ty, Gladys? — pyta jakiś męski głos.

— Nie — odpowiada zapytana — obawiam się, że źle Pana połączono.

— Oczywiście, nie ulega wątpliwości, że to pomyłka. Gladys nie byłaby taka uprzejmia.

(„Co Słysać?”)

USPOKOIŁ GO

Pewien obywatel odwiedził lekarza prosząc go o zbadanie serca, po czym z wielkim niepokojem oczekiwał na orzeczenie. Lekarz jednak uspokoił go:

— Niech się Pan nie martwi, serce Pana wystarczy na całe życie.

Pacjent odszedł uszczęśliwiony.

(„Co Słysać?”)

DOKŁADNOŚĆ

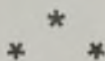
Cordell Hull, minister spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych A.P., znany jest z wielkiej dokładności wyrażań. Jechał kiedyś z przyjacielem, który wskazał mu duże stado pasących się owiec, mówiąc:

— Popatrz, te owce są świeżo ostrzyżone.

Hull przyjrzał się starannie i przyznał:

— Tak, w każdym razie były strzyżone przynajmniej z tej strony, od której na nie patrzymy.

(„Co Słysać?”)



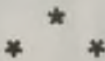
Z nowych wydawnictw

„Mikołaj Kopernik“ — oto tytuł pierwszego zeszytu wydawnictw Koła Przyrodników im. Kopernika — Oddział w Tel-Aviv (Allenby Road 114, I. p.). Zeszyt, ukazujący się w 399 rocznicę zgonu Kopernika, jest nie tylko wyrazem czci, oddanej

genialnemu astronomowi przez grupę intelektualistów polskich, rozrzuconych poza granicami rodzinnego kraju, ale zarazem protestem i aktem walki przeciwko zabobczym zakusom hitleryzmu. Zeszyt, wzbogacony ilustracjami, podaje szereg ciekawych szcze-

gółów z życia i działalności tej jednej z najświetniejszych postaci epoki odrodzenia, wykwitłych na niwie polskiej.

Wydawnictwo zasługuje, by się z nim zapoznać. Cena zeszytu 20 PT. — Do nabycia w administracji „Ku Wolnej Polsce“.



Poszukiwania

- Rayski Edward z Polesia poszukuje:
- 1) inż. Rayskiego Jerzego, właściciela maj. Mokrawy;
 - 2) Rayskiego Stefana, właściciela maj. Bujaki;
 - 3) Soltana Józefa, właśc. maj. Szpitale;
 - 4) Sułkowskiego, właśc. maj. Janopol, więźnia z Ostaszkowa;
 - 5) Bobińskiego Adama, właśc. maj. Wielki;
 - 6) Przybory Karola, właśc. maj. Siczchanowicze;
 - 7) Januskiewicza, zast. Nacz. Wydz. Roln. Polesk. Urzędu Woj.

- 8) Braci Miłaczewskich, właśc. dóbr Bołkowo, więźniów z Brześcia n/B.
- 9) Dra Gotliba, b. posła na sejm, redaktora gaz. „Der Moment“;
- 10) Cukiermana Herszka, vice-burmistrza m. Kobrynia.
Poszukiwany Klunkowski Franciszek.
Dra Adolfa Rojtera z m. Łodzi poszukuje Z. Breitburd c/o Hamburger, Givat Rambam.

Jacukiewicz Władysława ur. 1921, aresztowanego w Wołkowysku, poszukuje ojciec Michał.

Poszukiwany Feliks Bruliński z Katowic, który ostatnio przebywał w Rosji

Edmunda Nowakowskiego poszukuje Gąszczak Czesław.

Kazimierz Kadłubkiewicz, poczta pol. 108, poszukuje syna Stanisława.

Poszukiwany Jan Kamiński i Józef Kamiński z pow. łukowskiego przez Zygmunta Kamińskiego.

Poszukiwany przez matkę Selinger Mateusz (Tusiek). W czasie kampanii wrześniowej był w Dęblinie.

Poszukiwani: inż. Stanisław Skwarczynski, prof. Stanisław Świaniewicz i docent Seweryn Wystouch.

Wszelkie wiadomości o powyżej wymienionych prosimy skierować do redakcji „Ku Wolnej Polsce“.





Wejście do klasztoru w Nazareth